

# **Karaluch w uchu**

Agnieszka Żak

Copyright 2014 Agnieszka Żak

Redakcja i korekta  
Joanna Śłużyńska  
Maciej Śłużyński

Projekt okładki  
T.D.

Wydanie I

ISBN 978-83-935113-8-9 (Mobi)

ISBN 978-83-935113-9-6 (ePub)

ISBN 978-83-935113-7-2 (PDF)

Warszawa 2014

Zapraszam na stronę autorską [agnieszkazak.wordpress.com](http://agnieszkazak.wordpress.com).

## **Spis treści**

Karaluch w uchu	•	4
Zmęczenie	•	35
Miejskie potwory	•	55
Lwy morskie	•	80
Strachy z dzieciństwa	•	94
My rotten Valentine	•	106

## Karaluch w uchu

1.

Rzeźnik stanął w progu pomieszczenia i wstrzymał oddech. Na podłodze siedział starszy mężczyzna przykuty do sterczącej ze ściany, obdrapanej rury. Głowę opierał miękko na piersi – ogólnie robił wrażenie rozmiękczonego, bezładnie rzuconego w kąt. W powietrzu unosił się kwaśny zapach moczu; najwyraźniej człowiek ten siedział tu zbyt długo. Rzeźnik przeraził się, że za chwilę skończy tak samo. Skurczył się, wciskając głowę w ramiona, spodziewając się odbierającego przytomność ciosu zza pleców. Nie wiedział tylko, za co miałyby go spotkać taka kara. Był dobrym lekarzem, dawał z siebie wszystko i powszechnie ceniono jego usługi, głównie dzięki umiejętności niezadawania głupich pytań w rodzaju „kto cię postrzelił?”. Robił, co do niego należało, osiągając całkiem niezłe wyniki, choć oczywiście nazywali go Rzeźnikiem nie bez powodu. Szybko dokonał w myślach przeglądu kilku ostatnio wykonanych zabiegów. Nie wydawało mu się, żeby któryś zbyt spierdolił. Nie na tyle, żeby teraz skończyć przykuty do kaloryfera, pływający we własnych sikach.

Atak nie następował, a dziewczyna, za którą tu przyszedł, pociągnęła go nieśmiało za rękaw.

– No, to on, panie doktorze.

Rzeźnik rozluźnił się. Więc ten śmierdzący dziad miał być jego pacjentem? Nie zaszkodziłoby spytać, czemu jest skuty, jednak – jak już wiadomo – Rzeźnik zdobył sobie renomę właśnie poprzez niezadawanie tego typu pytań.

Podszedł bliżej więźnia i spojrzał pytająco na dziewczynę. Gdy podchwyciła jego wzrok, od razu zrozumiał, że popełnił błąd. Wołali na nią Ruda, ale nie przez kolor włosów. Otaczające jej głowę, żyjące własnym życiem włosy – Rzeźnik miał wrażenie, że coś w nich pełzało – wyglądały, jakby kiedyś bardzo chciały być rude, kręcone i ładne, ostatecznie jednak poddały się nieugiętemu prawu ponurej rzeczywistości, przybierając barwę rozczarowania i żaloby po miedzianym odcieniu. Za to oczy... Oczy tej dziewczyny były ciepłe i brązowe; tak ciepłe i brązowe, że aż wydawały się czerwone, zwłaszcza na krawędziach, gdzie tęczęwka stykała się z białkiem. Ludzie uważali ją za czarownicę, topielicę albo córkę topielicy – w zależności od tego, jaką plotkę usłyszeli. Ale Ruda przysłała do Rzeźnika z pieniędzmi, co prawda pomiętymi, zawilgotnionymi i – mężczyzna mógłby przysiąc – zabrudzonymi kropelkami krwi, ale wciąż pieniędzmi. A prawdziwy lekarz nigdy nie odmawia potrzebującemu. Czy coś takiego.

W oczy Rudej starał się jednak nie patrzeć, bo choć przesądny raczej nie był, to czuł, że krew zamarzała mu w żyłach od tego spojrzenia.

– Więc co z nim? – zapytał.

– Niech mu pan doktor tego robaka wyjmie z ucha. – Ruda wydawała się

onieśmielona.

– Karalucha! – krzyknął ktoś, zbiegając głośno ze schodów.

Po chwili Rzeźnik zobaczył gówniarza Hrabiny – kobiety, która raz na jakiś czas wpadała do jego domu, sprzątała, gotowała coś dobrego i zaciągała go do łóżka, a jej dzieciak czekał na ulicy i rzucał kamieniami w okna sypialni, nie pozwalając się Rzeźnikowi skupić. Lekarz był zadowolony z takiego układu, bo czasem wypadało wysterylizować szarą piwnicę, robiącą za salę operacyjną. Dobrze było też przytulić się do obwisłego cycka i pozwolić, by Hrabina delikatnie przeczesywała palcami jego rzednące włosy. Ale mężczyzna nie chciał mieć Hrabiny w domu na stałe, bo baby to same kłopoty, zwłaszcza w interesach przeszkadzają. Choć czasem kusiała go myśl o własnej pielęgnowarce, takiej, co to ociera pot z czoła chusteczką, gdy on kroi jakiegoś nieszczęśnika. Zawsze jednak po góra dwóch dniach wspólnego życia Rzeźnik wyganiał Hrabinę, przypominając sobie, że razem z nią do jego domu przywlekleby się najgorsza zaraza w postaci jej bachora.

– A ten czego tu?

– Nie wiem czego, podobno mu coś mówi. Znaczy, ten karaluch – doprecyzowała Ruda, zanim zdała sobie sprawę, że mężczyzna zapytał o chłopca.

– No ale co ja mam z nim zrobić?

– Wyjąć z ucha.

– E, kiedy ja nie takimi rzeczami się zajmuję, ja to raczej – odchrząknął – większy kaliber robię. To jakaś drobnica jest, grzebać trzeba strasznie. Ja nie jestem... ten, no... ortopeda żaden. Ja się nie znam na grzebaniu w uchu albo w nosie. W zębach to jeszcze, zęba łatwo wyrwać. Ja to chirurg jestem, rozumiesz. Zresztą ręce mnie się trzęsą, gdzie ja tu bez precyzji będę grzebać, ogłuszę go.

Ruda od razu zrozumiała aluzję i poleciała po flaszkę.

– Ruda, Ruda! – wydarł się chłopak. – A taki ortopeda to co robi?

– Ptaki bada – odpowiedziała dziewczyna z powagą.

Mały roześmiał się.

– Jakie ptaki?! Uszy! – wydarł się Rzeźnik, pociągając z butelki śmierdzącego bimbru. Wykręciło mu twarz już od samego zapachu, a jeszcze gorzej od smaku. – Każde dobre lekarstwo potrzebuje chwili, zanim zacznie porządnie działać. W międzyczasie ten, no, wywiad zbiorę. Więc o co z tym karaluchem chodzi?

Ruda westchnęła przeciągle.

2.

Smutna wiocha leżała tuż za krańcem świata. Nie można tu było dotrzeć żadną drogą – należało podążać za zarośniętymi zmizerniałą trawą śladami wielkich opon traktora. Nie było też sklepu, dlatego raz na tydzień jeden z mieszkańców brał młotek oraz wódkę i walił w silnik wysłużonej maszyny rolniczej tak długo, aż ten odpalił. Następnie brał baby na przyczepę i jechał do innej wiochy, która miała szczęście leżeć przy drodze gminnej. Miała też element decydujący o jej wysokim statusie w okolicy – sklep spożywczo-monopolowy.

Właściwie nie wiadomo, z czego żyli mieszkańcy wiochy tuż za krańcem świata. Niebo zawsze było szare, a ziemia twarda i mało co chciało rosnąć. Ludzie

alkohol pędzili sobie sami, latem zbierali w lesie jagody i grzyby, z którymi rozstawiali się potem przy drodze. Palili drewnem, a wodę czerpali ze studni. I tak to szło.

Nie można powiedzieć, by wiocha była mała. Chałupy stały porozrzucane w nieładzie, a wokół nich ciągnęły się leżące odłogiem pola i pozostałości dawnej chwały: wałace się stodoły, dziurawe kurniki i rzadko zamieszkane psie budy. Ludzie leniwie łazili po przydomowych ogródkach, bez przekonania rwąc chwasty, które rosły chętniej niż warzywa. Miejsce było szare i przygnębiające – ludzie, zwierzęta i zabudowania oczekiwali w milczeniu na swój koniec.

A ten nadchodził od strony lasu. Uparte, małe drzewka wpuszczały korzenie w rynny i rozrywały pokryte papą dachy. Rozsadzały drewniane schodki, a u Grzelakowej były na tyle bezczelne, by wrosnąć prosto w południową ścianę. Puszczą powoli, acz nieustępliwie pochłaniała budynki. Słońce nie świeciło nigdy, a wiatr nie radził sobie z rozwiewaniem porannej mgły, więc mieszkańcy nawet nie zauważyli, kiedy dzika przyroda podeszła tuż pod ich domostwa, połykając opuszczone gospodarstwa na obrzeżach wiochy. Gdy ludzie zbierali drewno lub grzyby, nie rozglądali się wokoło, ignorując sterty cegieł i przekrzywionych desek, by nie wywołać ducha „starych dobrych czasów”. Przestali się też zapuszczać w głąb lasu, kręcąc się na jego skraju, gdyż stawał się coraz gęstszy, a co za tym idzie – ciemniejszy. Ziemia pod porośniętymi mchem drzewami była wilgotna i bagna, a komary siekły wściekle. Buczenie owadów świdrowało w uszach, a zamiast śpiewu ptaków słychać było niemilosierne skrzeczenie. Zamiast szelestu traw dobiegało płaskanie, gdy stopy ludzi i łapy zwierząt odrywały się z trudem od rozmiękłego podłoża. Wszystko stało się przerażająco dzikie i obce.

Mieszkańcy odczuwali dyskomfort, a niektórzy także strach przed bliżej nieokreślonym „złym”; ale dla przybyszy z miasta ponura gęstwina leżąca tuż za krańcem świata była idealnym miejscem do załatwiania ciemnych jak sam las interesów. Zdarzało się, że do wiochy zajeżdżała czarna beemka, z której bagażnika kierowca wyciągał łopatę i pechowca z workiem na głowie. Mieszkańcy uważnie studiowali połamane, żółte paznokcie. Co odważniejsi opierali się o parapety i zza brązowych od brudu firanek patrzyli, jak między drzewa wchodzi trzech mężczyzn, a wychodzi dwóch. Jak już było po wszystkim, najodważniejszy pukał w szybkę beemki i pytał o szluga.

Odważnym okazał się Rzeźnik. Weterynarz-samouk, opiekun zwierza gospodarskiego nie tylko w smutnej wiosce, ale i w kilku okolicznych osadach. Ale to się działo za czasów jego młodości, gdy był przystojnym chłopaczkiem – ledwo krowa łeb przekrzywiła, a już kobieta miała pretekst, by go wołać na ratunek. Z biegiem lat, jak wszyscy, Rzeźnik zestarzał się, zdiadział, a powykręcane palce nie chciały mu już służyć tak dobrze jak kiedyś. Przestał jeździć po okolicy, zaś w rodzinnej wiosce w końcu została tylko jedna krowa. Krasula wydała na świat więcej cieląt niż ktokolwiek w osadzie potrafił zliczyć, nigdy nie miała problemów z mlekiem ani żołądkiem, a na weterynarza patrzyła niechętnie, muczeniem zapewniając, że nie potrzebuje pomocy. Była stara i żyłasta, ale wytrzymała i twarda jak skała. I ludzie wierzyli, że pewnego dnia – zupełnie jak podgryzana przez wodę

i wiatr skała – padnie na ziemię bez żadnej zapowiedzi. Mieli jeszcze parę kur, a także psów i kotów – z tymi problem był najmniejszy, bo zawsze jakieś nowe się przyplątywały. Rzeźnik został więc bez pracy. Niespecjalnie mu to przeszkadzało – cała wiocha się obijała, to czemu niby on jeden miałby tyrać.

Nowa robota zjawiała się wraz z beemkami. Rzeźnik specjalistą nie był, ale i złamaną nogę poskładał, i wszelkiego rodzaju ciała obce z koziego zadka umiał wyciągnąć. Gdy się napił, jego powykręcane palce odzyskiwały tymczasowo giętkość, zapewniającą niezbędną precyzję. Rzeźnik był też tani – wystarczyła zwykle flaszka. Ale gdy dostawał gotówkę, pół wsi się zlatywało popatrzeć na papierki. Weterynarz-amator-doktor nie był chciwym człowiekiem, sąsiadów czasem zapraszał, żeby do ściany nie pić.

I tak to szło. Rzeźnik rzadko dostawał robotę, bo gangsterzy przyjeżdżali do niego tylko wtedy, gdy spierdolili tak straszliwie, że nigdzie indziej nie mogli się pokazać. Rzeźnik był często ostatnią deską ratunku i ta rola łechtala miłe jego ego. Czasem dorabiał też, użyczając swojego domu na kryjówkę. Nikt nie zaglądał do wiochy tuż za krańcem świata, więc była to miejscówka wyjątkowo bezpieczna.

Ruda zawitała do wiochy w dniu, w którym do Rzeźnika zwieziono dziewczynę na okup. Mężczyzna kręcił się po podwórku, wypędzony z własnego domu po tym, jak spytał, czy ma jej odciąć palec do wysłania, jak na filmach. Porywacze spojrzeli na niego dziwnie i wygonili za drzwi. Rzeźnik przysiadł w końcu na dużym kamieniu i pozwalał, by kurz osiadał na jego ubraniu, włosach i rękach. Co jakiś czas przecierał łzawiące oczy. Nudził się i zastanawiał, czy nie iść w las, do Hrabiny. Normalnie to ona zachodziła do niego. Gdy już zaczął zbierać się do drogi, zauważył we mgle niewyraźną ludzką sylwetkę. Ruda weszła między chałupy niepewna, co ze sobą zrobić, z oczami pełnymi pokory, jak u szukającego ludzkiej litości psa. Mieszkańcy zlecieli się poplotkować, a Rzeźnik z ciekawością nadstawił ucha.

Wersji wydarzeń było kilka i wykluczały się wzajemnie. Jedna mówiła, że matka Rudej zmarła już w trakcie porodu, oczywiście z winy szatańskiego dziecka, które rozerwało ją od środka. Według innej Ruda zabiła matkę trzy lata po porodzie, a według jeszcze innej – że miało to miejsce niedawno, a ojciec wyrzucił dziewczynkę z domu i dlatego pałętała się od wsi do wsi. Ruda miała się urodzić opętana przez złe moce, co było wyraźnie widać w jej czerwonych oczach. Podobno w ogóle jej nie ochrzczono – jak powiedział jeden z plotkujących; ale zaraz drugi sprostował, że to nieprawda, bo dziecko było chrzczone, tylko woda święcona rozstępowała się na boki, rozpryskiwała i parowała, zanim zetknęła się ze skórą. W Rudej siedziało zło, które najpierw, jako płód w łonie, wyczerpało jej matkę, a potem powoli wyssało z biedaczki resztki życia. Jedna z bab zapewniała, że dopiero co była na pogrzebie tej chudej, wymizerowanej kobiety. Poszła tak dla rozrywki, bo co miała w domu siedzieć – tak to sobie chociaż na żałobników popatrzyła. Opowiadała, że konkubent zmarłej, a ojciec Rudej, tak samo był chudy i smutny, wiedział więc, co robił, gdy wyganiał dzieciaka z domu. Widać i do niego złe próbowało się dobrać.

Ruda na pogrzebie stała z pochyloną głową, by nie denerwować ludzi swoim wyglądem. Jeśli musiała iść, wbijała wzrok w krawędź ojcowskiego płaszcza

i podążała za nim. Przyzwyczyła się, że wszystko było jej winą, a obcy źle o niej gadali. Także wychudły, udręczony ojciec nie służył ciepłym słowem. Ruda nie przejmowała się tym specjalnie. Zawsze każdemu okazywała troskę i uprzejmość, próbując nie dawać nikomu powodu do przykrych uwag. Wierzyła w siłę dobrego słowa, choć najczęściej i tak obrywała. Nie przeszkadzało jej więc przebywanie w samotności – jak to dziecko umiała znaleźć sobie różne zabawy. Biegała za żabami i konikami polnymi, a lasy, łąki i pola znała jak własną kieszeń. Jej ojciec tymczasem zgorzkniał i się rozpił. Nie miała do niego pretensji, rozumiejąc, że po śmierci żony musiało mu być przykro. Kiedy więc przestał interesować się domem, a na córkę patrzył z narastającą niechęcią, Ruda dla obopólnej wygody zdecydowała się spać pod gołym niebem. Była to również świetna przygoda, gdyż mogła obserwować gwiazdy i rozpoznawać nad ranem ptaki po pierwszych trelach. Tak samo błąkanie się od wsi do wsi uznała nie za zmartwienie, ale za możliwość zobaczenia nowych ludzi, miasteczek i kawałka świata. Cieszyło ją to niepomieranie, bo całe życie siedziała w jednej wsi, gdzie wszyscy byli jej niechętni. Liczyła, że w podróży spotka przyjaźniej nastawionych ludzi.

Tyle że przyszła jesień i Ruda zrozumiała, że trzeba się gdzieś w ciepłe zaszyć na stałe, bo inaczej dupa jej do ziemi przymarznie.

Rzeźnik drapał się po brodzie, patrząc, jak Ruda kręciła czubkiem zdartego buta w piachu i zbierała się do poproszenia kogoś o pomoc. Żał mu było dziewczyny, bo ludzie patrzyli na nią wrogo i pluli pod nogi, choć Ruda wyglądała prawie jak aniołek, tylko strasznie umorusany – ale jaka wiocha, takie anioły. Uprzejmie zagadywała wszystkich po kolei, czy nie potrzebują pomocy w gospodarstwie. Tutaj? Na tym pustkowiu zabitym dechami? A nawet gdyby coś do roboty było, nikt nie chciał do pomocy Rudej – przez oczy, które wydawały się normalne, brązowe, ale zaraz jakiś chochlik się w nich pojawiał i połyskiwały czerwienią. Ciężko to było dostrzec w wiecznej szarości, przecież słońce nigdy tu zza chmur nie wychodziło – a jednak ludzie widzieli, co chcieli.

Plotkarze się rozeszli, tylko Rzeźnik dalej siedział na kamieniu. Ruda podeszła, uprzejmie spytała, czy może się dosiąść, a mężczyzna w odpowiedzi charknął doniosłe, oczyszczając sobie zatoki.

– Przepraszam pana, czy...

– Nie, nie, ja to nie...

– Rozumiem, dziękuję.

– A ty co taka księżniczka? Przepraszam, dziękuję... Z pałacu jakiegoś żeś przylazła? Dziewucha dla Hrabiny, w mordę jeża, lepsza niż ten jej bachor. Dzieciak niby krew z krwi, a jak gówno bardziej.

– A to państwo tu mają hrabinę? Taką z pałacem? – Ruda rozejrzała się zaskoczona, ale nawet gdyby wiocha miała własną średniowieczną twierdzę, nie dojrzałyby jej we mgle.

Rzeźnik roześmiał się tak mocno, że aż się zakrztusił. Nie zdążył jednak niczego dziewczynce wyjaśnić, bo porywacze zawołali go do pomocy. Przemyśleli pomysł z palcem.

– Amatorzy – burknął pod nosem weterynarz.

3.

Józek wracał od Grzelakowej niezadowolony. Pomógł jej pozbyć się wrośniętego w ścianę chałupy drzewa, ale w zamian dostał tylko napar z jakichś chwastów „na wzmocnienie”. Jego gospodarstwo znajdowało się tuż przy lesie i zdawał sobie sprawę, że było następne w kolejce. Dawno już przestał panować nad tym, co rosło na jego ziemi, a drzewa wyciągały gałęzie tuż nad dachem. Powykręcane konary, pokryte czymś co bardziej przypominało rozpasaną pleśń niż listowie, pochylały się nad Józkowym domem z niewypowiedzianą groźbą. Józek miał dość przemykania z lękiem po własnym podwórku i wbijania wzroku w ziemię. Spoglądanie wprost w las budziło w nim dziwny lęk. Czuł, jakby coś pełzło mu pod skórą, oblewał go zimny pot, nogi miękły. Dlatego upatrzył sobie Grzelakową – wdowę, która swoje lata już miała, ale jej dom stał z dala od lasu, był ciepły, przytulny i zadbany – oczywiście jak na panujące we wiosze warunki. Od czasu do czasu radio Grzelakowej – jedyne we wsi – łapało jakąś stację i przez szумы można było posłuchać piosenek po angielsku. Wiadomości już się słuchać nie dało, bo głos spikera brzmiał zbyt niewyraźnie, ale Józkowi niespecjalnie zależało na tym, by wiedzieć, co tam słychać w wielkim świecie. Wystarczyłoby mu spanie pod normalną pierzyną, nie zapleśniałą. Oczywiście las zapuścił swoje korzenie nawet u Grzelakowej, ale twarda kobieta walczyła uparcie z żywiołem. Tylko z drzewkiem w ścianie nie umiała sobie sama poradzić, więc Józek wykombinował, że jak się nim zajmie, to Grzelakowa weźmie go do siebie.

Niewiele z tego wyszło – Józek skruszył kawał muru. Korzenie nie ustępowały łatwo, a im mocniej Józek w nie uderzał, im zacieklej je skrobał, ciągnął, im głębiej w nich dłubał, tym mocniej wgryzały się w cegły, jak głodne zwierzęta, które ktoś próbuje oderwać od zdobyczy. Grzelakowa nie była zachwycona zniszczoną ścianą.

Józek wracał do domu rozeźlony. Staął na własnym podwórku i spojrzał w gęstwinę, rzucając jej milczące wyzwanie. Las odpowiedział.

Najpierw chłop zauważył niewyraźny cień – równie dobrze wiatr mógł poruszyć krzakami. Po chwili wyłoniła się mara. Szła we mgle tak gęstej, że nie było widać jej nóg, zupełnie jakby unosiła się w powietrzu nad trawami. Na sobie miała podartą sukienkę, twarz umorusaną, a we włosach mech. Przedzierała się przez trawy, idąc prosto na Józka, ale go nie widząc. Mara kichnęła głośno, zatrzymała się i dopiero dostrzegła, że nie jest sama. Na widok Józka przetarła sobie twarz ręką, a jej nos, usta i broda pokryły się krwią.

Józek krzyczał tak długo, aż zemdlął. Ruda potrząsnęła nim, chcąc go obudzić. Ten otworzył oczy i zamknął je gwałtownie z powrotem.

– Proszę pana...

– Pójdę do kościoła, obiecuję! Na tacę dam, pożyczę od Rzeźnika... albo nie będę pił! Nie będę pił cały tydzień i dam na tacę! Jezuuu!

Kulawy Andrzej wyszedł sprawdzić, co się dzieje – zobaczył tylko wyciągnięte nad mgłę w obronnym geście dłonie Józka i stojącą nad nim, pokrytą krwią dziewczynkę.

Ludzie omal się nie pozabijali, tak gwałtownie rzucili się plotkować.



Zadziwiająco, jakie rzeczy potrafili wymyślić, biorąc pod uwagę, że normalnie ich umysły pozbawione były jakiegokolwiek bodźca – szara, nieciekawa codzienność usypiała ich myśli. Wystarczyło jednak najdrobniejsze szturchnięcie w mózg, by ten odpalił maszynę wyobraźni. Kolejne wersje wydarzeń stawały się prawdą chwilę po tym, jak opuszczały usta. Przez uszy prawda wlewała się do głowy, przechodziła przez szare komórki i wychodziła następnymi ustami, tym razem jeszcze prawdziwsza.

Ruda miała więc zapędzić się za daleko w las, zaklinować w poskręcanych korzeniach, paść twarzą prosto w bagno. Zdradzieckie błoto miało ją wciągnąć i udusić. Na wschodzie tereny stawały się coraz bardziej podmokłe i niepewne. Gdy już dziewczynka padła na ziemię, do nieprzytomności posiekały ją komary, pijawki i węże. Umierać miała powoli, rozkładana od środka przez truciznę; z wnętrznościami stopniowo rozpuszczanymi jadem, jak u muchy złapanej w pajęczą sieć. Albo dusiła się powoli, wchłaniana przez bagno, czując każdą kolejną porcję śmierdzącej paćki wpływającej do płuc. Szarpała się, walczyła, jak to dziecko, nie rozumiejąc, że z każdym ruchem zapada się coraz głębiej. Pewnie płakała.

Inna wersja mówiła, że to wszystko wydarzyło się dlatego, bo nikt nie okazał serca dzieciątku i nie przyjął jej do siebie. Roboty we wsi brakowało, ale można było pozwolić się małej ogrzać, dać jej coś do jedzenia i picia. Ot, ludzki gest. Takie gadanie szybko jednak przygnębiło mieszkańców wiochy. Nie chcieli mieć nic wspólnego z tą tragedią, to nie była ich wina. Trybiki w głowach znów zaczęły się gwałtownie kręcić i popychać nawzajem, by wyprodukować nową historię.

Plotkowali, że dziewczyna kręciła się po wsiach, bo uciekała przed ojcem. Ten obwinał córkę o śmierć żony, zemsta go zaślepiała, zapędził więc Rudą do lasu, zacisnął dłonie na cienkiej szyi i zaraz było po wszystkim. Słabe, dziecięce ciało musiało ulec, przygniecione męskim kolaniem do ziemi. Wystarczyłoby trochę mocniej złapać ją za nadgarstek i kość pękłaby na kawałki. Nie miałyby się jak bronić. A teraz duch błąka się po lesie, niespokojny, nie mogąc zasnąć.

– Pamiętajcie o tych oczach! Może ojciec wiedział, co robi... – szepnęła Grzelakowa, a reszta przytaknęła gorliwie.

Ruda chciała całą tę sytuację wytłumaczyć, powiedzieć, że Hrabina zabrała jej ubranie do prania, a w zamian dała sukienkę – luźną i cienką, w żaden sposób niepasującą do surowych warunków życia w lesie. Przedzierając się przez gąszcz pokaleczyła się o kolce, gałęzie poszarpały sukienkę i włosy. Nieroztropnie też wytarła spływające z nosa smarki, zostawiając na twarzy krwawą plamę – skaleczyła się wcześniej w dłoń. Była zirytowana, bo na co dzień poruszała się między drzewami pewnie jak po wyasfaltowanej drodze. Sukienka może była bardziej dziewczęca, ale zdecydowanie mniej praktyczna.

Ruda przebrała się w swoje ciuchy, umyła dokładnie twarz i podjęła rozpaczliwą próbę rozczesania włosów. Na opornych kłakach połamała większość ząbków grzebienia. Zastanawiała się, czy nie należałoby zanieść Józkowi prezentu na przeprosiny, ale nie posiadała nic wartościowego, nawet jak na tutejsze standardy. Tak wyszykowana, ruszyła do wiochy, by przeprosić.

Całe jej przygotowania poszły jednak na marne, gdyż nim zdążyła zrealizować

swój plan, na dom Józka spadł konar z pochylającego się nad chałupą drzewa. Kruchy, od wieków nienaprawiany dach załamał się do wnętrza domu, nie stawiając żadnego oporu i zabijając gospodarza na miejscu.

To wydarzenie ostatecznie przypieczętowało reputację Rudej.

4.

Z Hrabinią było tak. Po tym jak Rzeźnik zostawił Rudą na kamieniu, dziewczyna siedziała tam zawiedziona i zastanawiała się, czy mogłaby potajemnie przenocować w czyjejsz stodole albo opuszczonym domu. Zabudowania, które widziała dokoła siebie, nie zachęcały bardziej niż mech pod drzewem. Chwiejne budynki wyglądały, jakby trzymały się w kupie tylko z przyzwyczajenia i mogły rozpaść przy silniejszym podmuchu wiatru. Najwyraźniej ściany przegapiły moment, w którym powinny się przewrócić, i stały dalej, zbyt leniwe i zmęczone, by runąć – zupełnie jak ich mieszkańcy.

Uwagę Rudej przyciągnął powtarzający się dźwięk. Zobaczyła chłopca, na oko dziewięcio-, może dziesięcioletniego, który rzucał kamieniami w dom Rzeźnika. Robił to bez większego przekonania, po prostu podnosił kamienie, obracał je chwilę w dłoni, po czym ze znudzoną miną rzucał, nie celując w nic konkretnie. Na sznurku przywiązanym do szlufki spodni miał żabę. Ona również wyglądała na zrezygnowaną – nie próbowała uciekać i pozwalała ciągnąć się po ziemi.

– Przepraszam... na co ci ta żaba?

Chłopca zaskoczył widok niewiele starszej od niego dziewczyny. Poza nim dzieci we wiosce nie było – każdy, kto tylko wszedł w wiek rozplodowy, uciekał, jak najdalej mógł. Jeśli nie do miasta, to chociaż do w miarę normalnej wsi. Nikomu z młodych nie marzyło się, by przejąc po rodzicach nic niewartą gospodarkę. Kobiety, które zostały, były już za stare na kolejne dzieci. Raf nie miał żadnych towarzyszy zabaw.

Dzieciak wzruszył teatralnie ramionami i – chcąc zrobić dobre pierwsze wrażenie na nowej koleżance – nadepnął na zwierzę. Rozległ się cichy plusk gniecionego, miękkiego ciała.

– Nie musiałeś tego robić. Mogłeś ją wypuścić, jeśli ci się znudziła.

Rafowi ta uwaga skojarzyła się z jego wiecznie marudną, strofującą go matką. Postanowił, że nie zaprzyjaźni się z dziewczyną. Znał parę skutecznych sztuczek na odstraszenie natrętów; zdechły szczur wciśnięty w majtki wydawał się dobrym rozwiązaniem.

Odkąd jednak Ruda pojawiła się we wsi, Rafowi tym mocniej doskwierała samotność. Zajmując się swoimi sprawami, zaczął wyobrażać sobie, że dobrze byłoby dzielić je z kolegą. Ba, zawsze chciał mieć towarzysza zabaw, ale od teraz posiadał on realną twarz – oblicze Rudej. Do tego Ruda – jak na dziewczynę – nie była taka zła. Cechowała ją, podobnie jak matkę chłopca, niechęć do krwi i flaków, które z kolei fascynowały Rafa. Ale żaby i koniki polne potrafiła łapać szybciej i skuteczniej niż on. Bez problemu odnajdywała też w lesie żuki gnojowniki oraz mrówki. A gdy Raf w ramach próby zabrał ją nad jar, natychmiast wyczuła niebezpieczeństwo i ominęła zdradliwe miejsce. Chłopak, mimo że dobrze znał tę pułapkę, czasem się mylił,

stawiał nogę nie tam, gdzie trzeba, i leciał prosto w dół zarośniętego pokrzywami parowu.

– Chodźmy bawić się gdzie indziej. Tu, za tymi krzakami jest stromo, stąd tego nie widać i wydaje się, że można przejść na drugą stronę, ale tak naprawdę spadnie się i nieźle poturbuje – wyjaśniła spokojnie, nie domyślając się, że Raf przyprowadził ją tu celowo. – Powinniśmy zrobić jakieś ostrzeżenie, przyczepić coś na tym drzewie... albo wyryć scyzorykiem.

Raf zapalił się do tej propozycji, szybko ją modyfikując. Marzyła mu się przybita tymże scyzorykiem do drzewa wiewiórka. Ruda szybko ostudziła jego zapędy, używając logicznych argumentów; raz, że szkoda scyzoryka, a dwa, że truchło szybko zostałoby zabrane przez inne zwierzęta. A nawet jeśli nie, wiewiórka w końcu się rozłoży i odpadnie od drzewa, natomiast znak musi być trwały. Chłopiec zgodził się z takim myśleniem.

W ten sposób Raf zyskał utalentowaną i mądrą towarzyszkę zabaw. Doszedł do wniosku, że lepiej zadawać się z taką Rudą niż z nikim, a jej łagodność i niechęć do zabijania wszystkiego, co pełza i biega po okolicy, dawało się jakoś znosić. Raf ściągnął więc koleżankę do swojego domu.

Ruda zdziwiła się, gdy zobaczyła chatkę w lesie. Myślała, że chłopiec mieszkał razem z innymi we wiosce. Domek nie miał żadnych szans w starciu z przyrodą – przytulił się tylko w obronnej pozie do ziemi, jakby w nadziei, że potulną postawą wzbudzi litość lasu i ten zostawi go w spokoju. Z nadkruszonego komina unosiła się rachityczna strużka dymu. Na ten widok Rudej natychmiast napłynęła ślina do ust.

W środku było ciemno – z mrokiem walczył tylko chybliwy płomyk świecy. Większe źródło światła kryło się za rogiem, rzucając cienie na posadzkę. Raf pobiegł tam od razu, a Ruda nieśmiało przystanęła w kącie.

– Raf, zupa gotowa.

– Jaka?

– Smaczna. Mamusia zawsze przygotowuje dla swojego synka dobre jedzonko, prawda?

Raf zasępił się natychmiast. Hrabina posiadała niezwykłą zdolność przygotowywania potraw właściwie z niczego. Co znalazła w lesie, ukradła od Rzeźnika albo wycygała w inny sposób, to wrzucała do gara. Powstawały z tego papkowate zupy, kasze i potrawki, na które ledwo dało się patrzeć, a co dopiero jeść.

– Och, dziecko, a co ty tu robisz? – zapytała zaskoczona Hrabina, gdy w końcu wypatrzyła w półmroku nieruchomą sylwetkę Rudej.

Dziewczyna przywitała się uprzejmie, czym od razu zdobyła sobie sympatię Hrabiny. Poczęstowana breją, nie marudziła – była na to zbyt głodna i zbyt grzeczna.

Dla Hrabiny zjawienie się dziewczynki było balsamem na obolałe, rozczarowane synem serce. Nie potrafiła zapanować nad małym łobuzem niezależnie od zastosowanej techniki. Nie pomagały kary cielesne ani krzyki; niewiele dawały też słodkie słówka i przymilanie się. Na zachowanie urwisa nie wpływały nawet najładniejsze i najczystsze ubranka, w jakie go stroiła. Próbowała zachęcić go do czytania, nie chciał jednak słuchać bajek ani oglądać kolorowych obrazków. Nie reagował na prośby matki o pomoc przy codziennych zajęciach, nie chciał bawić się

pluszakami ani klockami. Hrabina nie miała pojęcia, co dzieje się w głowie jej syna i dlaczego nie może być słodkim, grzecznym chłopcem o złotych loczkach i pucołowatej, uśmiechniętej twarzyczce.

Ruda była całkowitym przeciwieństwem Rafa – zmywała po obiedzie, przynosiła drewno na opał, a na posłaniu ułożyła misia z jednym okiem i jedną łapką, czyli pluszaka, który najlepiej zniósł zabawy Rafa i wciąż trzymał się w jednym kawałku. Przeglądała też ubogą kolekcję książeczek. Hrabinie serce się krajało, bo Ruda była już za duża na tego typu bajki. Mimo to dziewczynka sylabizowała dzielnie, ćwicząc zapomnianą przez wakacje sztukę czytania. Okazała się więc takim dzieckiem, jakie Hrabina zawsze chciała mieć. Po cichutku liczyła też, że uda jej się wzbudzić w Rafie zazdrość o matczyną miłość, dlatego rozpieszczała Rudą miłymi gestami i słowami. Nie potrafiła jednak powiedzieć, czy guma wsadzona dziewczynie we włosy jest przejawem zazdrości czy dziwnego poczucia humoru jej syna.

## 5.

Matka Rzeźnika uciekła z wiochy niedługo po śmierci męża, który zapił się na śmierć. Sąsiedzi kiwali głowami z pożałowaniem nad losem kobiety, która zamiast za porządnego mężczyznę wyszła za takiego, którego powaliła odrobina wódki. Szybko znalazła więc innego, z kawałkiem ziemi w innej wsi. Własne gospodarstwo opuściła bez sentymentów, choć w tamtym czasie wiocha radziła sobie całkiem nieźle. Na miejscu został jej nastoletni syn, samozwańczy weterynarz. Matka Rzeźnika wykazała się nadzwyczajną intuicją i przez lata nie wracała do domu, jakby bała się złapać gnębiącą mieszkańców chorobę beznadziejności. Dopiero na starość obudziła się w niej tęsknota, która zmuszała ją, by kilka razy w roku przyjeżdżać do syna i narzekać na wszechobecny rozpad.

– Naprawiłbyś to... wymieniłbyś... brudno. A tam co masz? – Gdy pytała o piwnicę, Rzeźnik gimnastykował się, żeby tylko zniechęcić ją do zejścia na dół. – To był kiedyś porządny dom, najładniejszy we wsi. Twój dziad go zbudował, a ty co? O patrz, to przegniło...

Rzeźnik próbował jakoś ataki matczynej troski przeżyć. Nie czuł się z tą kobietą specjalnie związany, nie był też na nią zły, że zostawiła go samego – zawsze znalazła się jakaś inna pani, młodsza i ciekawsza, która tymczasowo chciała się Rzeźnikiem zaopiekować. Więzy krwi między nimi sparciwały; mężczyzna nie miał w zwyczaju myśleć o matce jak o swojej rodzinie, którą trzeba się zająć, odwiedzić, obdarzyć uczuciem. Dlatego jej wizyty wprowadzały go zawsze w konsternację. Ponieważ nie wiedział, jak się zachować, pozwalał matce robić i mówić, co chciała, dopóki zbyt mocno nie interesowała się biznesami, jakie robił z gangsterami. W tym względzie Rzeźnik odczuwał wstyd, jakby został przyłapany na wyjadaniu cukierków.

Szybko przekonał się, że istnieje jeszcze jeden temat – poza podejrzaną dorywczą pracą – którego nie powinien poruszać przy matce. Były to kobiety. We wiosce popęd umierał szybko; ludzie lubili razem popić czy poplotkować, ale z poządlivością, nie wspominając o czułości, nikt tu na nikogo nie spoglądał. Wszyscy chodzili ubrani podobnie. Nosili workowate kurtki i portki, które zaburzały proporcje, patrząc więc tylko na sylwetkę, ciężko było odróżnić kobietę od

mężczyzny. Czasem sprawę dodatkowo utrudniały rzadkie wąsiki na damskich twarzach. Zdaniem Rzeźnika ludziom nie chciało się już gzić ze zwykłego lenistwa i dziadostwa. On sam dawno stracił powodzenie, jakim cieszył się za młodu, ale nie brakowało mu wigoru, dlatego nie wybrzydzał i cieszył się za każdym razem, gdy odwiedzała go Hrabina. Do spięcia doszło, gdy matka Rzeźnika jak zawsze niezapowiedzianie zjawiała się u syna, a Hrabina otworzyła jej drzwi.

– Głupek. Głupek! – syczała mu nad uchem matka. – Ze wszystkich bab tę musiałeś wziąć?

– E tam. Obiad ugotowała, to czego narzekasz? Ty gotować nie chcesz.

– Nie będziesz tego jadł. – Kobieta złapała garnek i zwinnych ruchem wylała jego zawartość za okno.

Rzeźnik zeźlił się, ale nie zareagował, tylko mocniej wcisnął się w fotel. Nie zamierzał zaczynać kłótni. To zresztą lubił w Hrabinie, że nie miała do niego o nic pretensji, o ile nie wchodził jej w drogę. Też potrafiła zamarudzić nad bałaganem, ale nie zwykła urządzić scen. W jego opinii była porządną kobietą, która wiedziała, gdzie jej miejsce, bo w końcu jego żoną nie była, nie powinna więc zbyt wiele wymagać. Matka to matka, ale słabo rozwinięta dziecięca miłość sprawiła, że Rzeźnikowi wydawała się obecnie bardziej intruzem, kimś obcym, kto próbuje się rządzić w jego domu.

Kobieta zauważyła dąsy syna, przysiadła więc obok. Przywołała na twarz pojednawczy uśmiech.

– No powiedz mi, synku, gdzie ta Hrabina mieszka?

– W chałupie, jak wszyscy – odparł ze złością.

– A gdzie ta chałupa stoi? Obok twojej? Po drugiej stronie drogi?

Rzeźnik wiedział, dokąd zmierza dyskusja, i wcale mu się to nie podobało.

– W lesie.

– W lesie, synku, w lesie. Wszyscy, którzy mogli, uciekli jak najdalej od lasu. Myślisz sobie pewnie, że wszędzie tak jest, że wszystko tak zdziało. A wcale nie! Mój stary ziemię ma dobrą, jest z czego żyć, sąsiadom też się dobrze wiedzie. Kościół mamy. A tu? Las zeżarł kościół razem z cmentarzem. No idź tam, na wschód, za bajoro. Tylko resztki krzyży stoją.

– Las rośnie, co ma robić. Wilgoć dobrze mu służy.

– Wysłuchałbyś mnie do końca. Myślisz, że dlaczego się stąd wyniosłam? Każdy, kto był mądry, uciekł. Teraz ludzie są już na to za starzy... Ty też wolałeś zostać, dobrze ci tu było, bo za dziewczynami mogłeś do woli ganiać.

Rzeźnik wzruszył ramionami.

– Myślałeś pewnie, głupku, że gdzie indziej nie ma takich dziewczyn. I gdzie teraz te twoje dziewczyny? U nas tyle tego, takie ładne! Już dla ciebie za młode, ale starsze też są porządne. A nie, takie te... – Kiwnęła głową w stronę lasu, mając na myśli Hrabinę. Rzeźnik dalej wiercił się w fotelu. – Las wchłonie tu powoli wszystko. Toć ludzie pilnowali, chodzili z siekierami, wypalali nawet. Ale i tak w końcu pół wiochy wchłonął. Spokojnie pół, jak nie więcej! Kto mógł, uciekał. Kto nie mógł, umierał. I wiesz, kto został? Twoja Hrabina.

Prawdą było, iż Hrabina jako jedyna nie dała się sterroryzować puszczy i nigdy

nie opuściła swojego domu. Las rósł dokoła, zabrał inne domy, przegonił ludzi, ale nie mógł sobie poradzić z Hrabinią, która korzenie zapuściła równie mocne, jak walczące z nią drzewa.

– A co, lepiej by było, żeby tak jak ty zostawiła swoją ziemię, dom, który jej rodzice zbudowali, i poszła gdzieś w cholerę?

– Franek!

– Bzdury wszyscy gadacie o duchach i demonach z lasu. Jakby ludzie, zamiast gadać głupoty, lepiej o swoje dbali, to by im nie zarosło. Nie chce się nikomu i tyle. Tylko pić bimber się chce.

– A ty co, taki pracowity jesteś?! – obruszyła się matka.

– Ja jestem weterynarz i się na swojej robocie znam. Nie moja wina, że jedyna krowa, która została, nigdy nie choruje. A ludziom też potrafię pomóc. Szwy założyć umiem, o. A ty co, przyjechałaś, bo się nagle za synem stęskniłaś? Czy może żal ci ziemi, którą zostawiłaś za sobą? Boli cię, że inni mają, że Hrabina ma, a ty nie? Trzeba było w świat nie lecieć, a nie mi tu teraz bajki opowiadasz. Dorosły jestem, jakbyś nie zauważyła. Gdybyś siedziała w domu, to byś widziała, jak ci dziecko rośnie.

Rzeźnik pozwolił, by złość go opanowała, ale zaraz zrobiło mu się głupio z powodu tego wybuchu i zamilkł. Sam nie wiedział, po co robi matce wyrzuty. Bez niej radził sobie dobrze i niespecjalnie potrzebował jej uwagi. Zamilkła też Elżbieta, w której obudziły się wspomnienia. Tak, bolało ją powodzenie Hrabiny. Nie chodziło jednak o jej gospodarstwo, ale o mężczyzn.

Hrabina urodziła się jako pulchny, piękny bobas o złotych loczkach i błękitnych oczach. Była spokojnym dzieckiem o dobrym apetycie, mało płaczkliwym i lekko znośnym choroby. Słowem – każda kobieta chciałaby mieć taką córeczkę. Z dziewczynki wyrosła równie intrygująca urodą nastolatka. Rówieśniczki żartowały z niej, wytykając, że jest zbyt chuda i blada. Rzeczywiście, Hrabina zgubiła gdzieś dziecięcą pulchność i rumieńce, ale nie reagowała na zaczepki. Nosiła głowę wysoko, dumnie stąpając przez obornik i ściągając na siebie zazdrosne spojrzenia dziewcząt lub zauroczone – chłopców. Jej wygląd i zachowanie sprawiły, że otrzymała przewisko Hrabiny – wyniosłej i przemądrzałej, uważającej się za lepszą od innych. W miarę jednak jak rosły piersi Hrabiny, rosło zainteresowanie chłopaków. Mogli wybierać pomiędzy rumianymi, zdrowo wyglądającymi, zaokrąglonymi dziółkami a zimną, eteryczną Hrabinią. W jej urodzie kryła się jakaś tajemnica, obietnica czegoś niezwykłego. I wielu rzekomo za tą tajemnicą podążyło. Plotki rozchodziły się szybko, ale milkły pod zimnym spojrzeniem Hrabiny. Nikt nie odważył się rzucić jej oskarżeń w twarz – poza Elżbietą. Elka nie miała wtedy jeszcze osiemnastu lat, ale dorobiła się już pokaźnego brzucha. Jeśli urodziłaby się dziewczynka, chciała dać jej na imię Maria, po babci; jeśli chłopiec – Franciszek, po dziadku. Dziecko rosło, a Elżbieta z coraz większą podejrzliwością spoglądała na niewiele starszego od siebie męża. Przeczynała, że nie ma dość cierpliwości, by poczekać, aż urodzi się dziecko. Nie wyrażał też zainteresowania ciężarną żoną. Elka wykrzyczała podejrzenia prosto w twarz Hrabiny, przekonana do granic pewności, że ta sypia z jej mężczyzną.

Stały naprzeciwko siebie pomiędzy chałupami. Pojedynczy promyk słońca

przedarł się przez chmury – a w tamtych czasach jeszcze się takie rzeczy w szarej wiosze zdarzały – i rozświetlił złote włosy Hrabiny, przez co wyglądała jeszcze piękniej. Elka była nabrzmiąta i zmęczona, z rękami podpartymi na biodrach i opuchniętymi kostkami. Wyglądała na wściekłą i zdecydowaną, podczas gdy Hrabina wydawała się spokojna. Nic nie odpowiedziała, tylko spuściła wzrok na brzuch Elki. Ludzie, którzy zebrali się wkoło, ściągnięci krzykami, podążyli za tym spojrzeniem. Elżbieta zaczęła się denerwować, gdy dotarło do niej, że cała wiocha obserwuje starcie.

Plotki to plotki, a widoczny brzuch to niepodważalny dowód. Ludzie patrzyli i widzieli, że Elkę z pewnością ktoś na sianie wyobrażał, może ten, którego wskazała i za którego wyszła, a może inny, kto ją tam wie. Faktem było, że niepokalane poczęcie zdarzyło się tylko raz. Hrabina nie musiała odpowiadać na oskarżenia. Wystarczyło że stanęła obok ciężarnej – szczupła, blada i skromna.

Elżbieta zdrygnęła się na to wspomnienie. Przegrała wtedy sromotnie, choć niesprawiedliwie. Wiedziała, była o tym święcie przekonana, że Hrabina spała nie tylko z jej mężem, ale też z innymi.

– Synek... Ona tam dzieciaki pozakopywała.

– To za płytko kopała, bo jeden ciągle mi szyby wybija, gówniarz mały!

– Naprawdę? – Elżbietę zbiło to z tropu, zaraz jednak odzyskała rezon. – A co z resztą? Zawsze ktoś ją obracał, z tego musiały być jakieś dzieci. Na przykład mówiła, że przypadkiem z drabiny spadła, ale to było specjalnie! A jak jej się nie udało na czas brzucha pozbyć, to się pozbywała dzieciątka, jak śmiecia, w tym przeklętym lesie! Z taką kobietą się zadajesz. – Wytarła chusteczką załzawione oko.

– I mądra z niej kobita! – krzyknął ze złością, wściekły, że dał się wciągnąć w dyskusję, na którą wcale nie miał ochoty. – Od tego jest babą, żeby się umiała zająć takimi sprawami. Myślisz, że ile już bym miał bachorów, jakby kobity to wszystko rodziły.

Matka Rzeźnika wciągnęła głośno powietrze przez usta, jakby wynurzyła się spod wody. Opadła głębiej w fotel, czerwieniąc się i nie mogąc znaleźć słów komentarza.

– Wychodzę z chłopakami w karty pograć – oświadczył Rzeźnik, podrywając się, byle jak najdalej od kolejnych wyrzutów i krzyków. Po powrocie nie zastał już matki, ale znalazł gar zupy na palniku, ostatecznie uznał więc wizytę za udaną.

6.

Zdarzyło się raz, że z lasu wrócił tylko jeden bandzior. W oczach miał strach, jakby zobaczył samego diabła, ubranie w nieładzie, przepocone jak po długim biegu i z naderwanym rękawem, buty ubrudzone, spodnie uwalane do kolan. Mieszkańcy tylko pokiwali głowami, jakby nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło, a kulawy Andrzej wyszedł złorzeczyć:

– Znam ja takich jak ty, zboczeńców, w „Superekspressie” czytałem, gwałciciele dzieci! Dziewczynkę w lesie zobaczyliście, to wam gacie same opadły. A to topielica była, na bagnach za lasem się utopiła. Ludziom nie wierzyliście, śmialiście się, dopiero jak twojemu koledze fujarkę odgryzła, to uwierzyliście. Ale

dla niego już za późno. – Dziadek splunął bandziorowi pod nogi. – Zwozicie nam tu kolejnych straceńców, ich dusze nie mogą zaznać spokoju, więc się plątają po lesie, wyją po nocach na swój los, spać nie dają. A topielica rządzi nimi wszystkimi, zabawia się. Od tego grzechu i zbrodni, od tego nieszczęścia, w ziemi nie chce nic rosnąć, a jak wyrośnie, to też zdycha...

Bandyta zwany Łysym w trakcie monologu mężczyzny miał chwilę, by ochłonać. Gdy przestał się trząść jak osika i dotarły do niego słowa starego Andrzeja, wściekł się i skopał kulawego mężczyznę. Mieszkańcy przyglądali się scenie z umiarkowanym zainteresowaniem. Nikt się nie palił do pomocy sąsiadowi, bo po co wchodzić w drogę ludziom z beemki. Zresztą przykład Andrzeja najlepiej pokazywał, co się wtedy dzieje.

Ubłocony mężczyzna przestał kopać Andrzeja, gdy wyładował większość frustracji. Wpadł do domu Rzeźnika, kazał mu „dokończyć robotę”, po czym pobiegł jak goniony przez demony do beemki i pojechał, a Rzeźnik chodził jak struty. Nie podobało mu się, że Łysy nie chciał zdradzić szczegółów zdarzenia, ledwie wspominając o jakimś „ataku”. Nikt go o nic nie pytał, widząc jego ściągniętą zmartwieniem twarz. Ludzie przynieśli Andrzejowi wódki, co go natychmiast uleczyło i nieco bełkotliwie kontynuował gadkę o topielicy, a oni słuchali, bo już nic lepszego do roboty nie mieli.

Weterynarz nie lubił Łysego, głośnego typu wciąż wydającego rozkazy, czasem zupełnie niebiorącego pod uwagę specyfiki wiochy. Zwykle przyjeżdżał do lasu z Kabanosem, który był trochę przy kości i poruszał się niemrawo. Rzeźnika nie zdziwiło więc, gdy ten potknął się o pierwszą większą nierówność terenu. Zajął się jego nogą najlepiej, jak potrafił, mimo to Kabanos narzekał, że kuleje. Rzeźnik machnął na sprawę ręką – krowy dochodziły do zdrowia szybciej niż ten miastowy idiota. Kabanos przyjechał do „lekarza” z kolejnymi pretensjami... tyle że zaginał gdzieś w drodze między beemką a drzwiami wejściowymi domu Rzeźnika. Od tamtej pory mężczyzna z niechęcią spoglądał na Łysego, nic nie rozumiejąc z jego tłumaczeń, że Kabanos poszedł tylko pod las za potrzebą. Nie podobały mu się też oskarżenia, które wściekły na zaginięcie towarzysza Łysy ciskał mu prosto w twarz. Ostatecznie żaden z nich nie odkrył, co się stało z Kabanosem, a Rzeźnik zarzucił Łysemu, że po pijaku nazmyślał głupot. Od tamtej pory ich stosunki znacznie się ochłodziły.

Rzeźnik nie był przesądny, ale tak na wszelki wypadek poczekał do południa, by poranna mgła choć trochę opadła. Las rozpływał się w niej tak, że człowiek – nawet idąc bardzo ostrożnie – mógł uderzyć twarzą prosto w drzewo, które pojawiło się przed nim nagle. Rzeźnik wyciągnął przed siebie rękę i dojrzał rozmazany obraz własnych palców. Uznał, że lepiej już nie będzie, więc wziął deskę z wbitym gwoździem i ruszył we wskazane miejsce. Mężczyźni zostali zaatakowani przy jakimś płocie – jak wyjaśnił Łysy. Rzeźnik był pod wrażeniem, że tamten w ogóle potrafił w kilku sterczących krzywo deskach rozpoznać ogrodzenie. Równie dobrze mogło to być cokolwiek innego, resztki stodoły, ale mężczyzna upierał się, że widział furtkę – pchnął ją lekko, a ona upadła z pełnym wyrzutem płaskim na kupę liści. Rzeźnik ruszył więc przez las do jedyne miejsce, które kojarzyło mu się ze stojącą



jeszcze do niedawna furtką – do zagrody wuja Mateusza. Rzeźnik pamiętał go z czasów dzieciństwa jako czepialskiego pijaka, który rzucał w dzieci kamieniami, twierdząc, że chciały go okraść albo śmiały się za głośno, albo po prostu były, a nie powinny. Raz trafił jednego z kolegów Rzeźnika w oko. Jednooki Zdziś nie tylko zdobył w ten sposób swoje przezwisko, ale także stał się jeszcze głupszy, niż był, przez co jego schorowana matka do dziś musiała się nim zajmować i przypominać mu, jak należy korzystać z toalety. Rzeźnik widywał ją czasem, jak sadzała Zdzisia na połamanej ławce przed domem. Siedział tak cały dzień, a psy łasły się do niego.

Rzeźnik przyszedł tu, by zrobić porządek po bandziorach, na wypadek, gdyby coś po nich pozostało. Splunął po raz kolejny, dochodząc do wniosku, że nie byli specjalnie bystrzy. Mieli cały wielki las, mogli zakopać ciało gdziekolwiek, ale nie – ci idioci wybrali sobie czyjeś stare podwórko. Rzeźnik myślał praktycznie: może kiedyś policja się zainteresuje, może ktoś będzie tu czegoś szukał. Rozpadającą się chatę łatwiej przeszukać niż cały las, to ograniczona, łatwa do wskazania przestrzeń. Znalazł ślady rozkopanej ziemi, ale nigdzie nie widział ani jednego, ani drugiego ciała, nie wspominając o porzuconej łopacie. Cisza i spokój, tylko co chwila coś buczało, syczało albo cykało. Nie było tu żadnej roboty do dokończenia, uznał więc sprawę za zamkniętą. Zauważył z zadowoleniem, że las zaczął się dawać Łysemu we znaki – najpierw ta historia z Kabanosem, teraz to... Weterynarz zarzucił sobie deskę z gwoździem na ramię i zawrócił.

7.

Raf przedstawił Rudej Dziada. Starzec natychmiast wzbudził w dziewczynie szacunek podszyty lękiem. Dziad składał się z groźnych oczu wystających z masywnej kupy swetrów, kurtek, dziurawych rękawiczek i przylepionych do resztek włosów czapek. Pomieszkiwał u Hrabiny i Rafa, jadł czasem u nich obiad, w praktyce mieszkał jednak wszędzie tam, gdzie położył się spać: na ławce, na konarze, w przydrożnym rowie. Ruda próbowała podpytać kolegę o przeszłość Dziada, ale nie dowiedziała się wiele, a nie miała dość odwagi, by spytać starca wprost. Raf odnosił się do Dziada z pogardą, tak jak zresztą do wszystkich. Ruda zauważyła jednak, że dzieciak głównie maskuje w ten sposób strach. Jak się później dowiedziała, Hrabina nie zawsze miała siłę, by poradzić sobie z synem, za to Dziad – choć na pierwszy rzut oka wydawał się zniedołężniały i poruszał się powolnie – wciąż potrafił przerzucić bachora przez kolano i wymierzyć kilka sprawiedliwych klapsów.

– Musimy dorwać jednego z tych facetów – powiedział Raf, gdy pewnego dnia cała trójka plątała się po lesie. Ruda uprzejmie poprosiła, by rozwinął tę myśl, ale nie przestała zbierać chrustu. Dziad rozparł się na pochyłym drzewie, jakby układał się do drzemki. – Rzygać mi się chce od tego żarcia. Po-rzy-gam-się. – Zaczął wydawać adekwatne do wypowiedzi dźwięki i wkładać palce w usta, udając, że wymiotuje. – Zjadłbym prawdziwego mięsa. Świeżego, dobrze wysmażonego. – Teraz zaczął się przesadnie ślinić; strużka spłynęła po brodzie. – Jednego z miastowych bym zjadł. Taki jeden... na długo starczy! Dziadzie, wiesz, jak gotuje mama! Nie zjadłbyś też takiego?!

– Mmm... – Dziad pochylił głowę i zdawał się zastanawiać nad złożoną

propozycją. – Zamknij się! Zamknij japę, mówię! – wydarł się niespodziewanie zachrypłym głosem. Ruda zadrzała, nie będąc pewna, do kogo skierowane są te słowa. Zaraz jednak starzec rozwiął jej wątpliwości, dodając: – Ty to byś zjadł, jasne, że byś zjadł. Słyszycie go?! On to by wszystko zjadł, a o moich ostatnich dwóch zębach nawet nie pomyśli.

Dziad miał jedną, nieznośną wadę – czasem rozmawiał z wewnętrznym lokatorem, głosem w głowie. Wszystko zaczęło się przed laty od niegroźnego bólu ucha, który to znikał, to narastał, nie dał się jednak zaleczyć żadnymi znalezionymi w lesie ziołami, nie wspominając o prawdziwych lekach. Dziad pogardliwie zresztą traktował wszelkie pigułki i wynalazki. W końcu ból nabrzmiał, a towarzyszyły mu obrzęk, pieczenie i uporczywy szum, zagłuszający inne dźwięki. Dziad przestał słyszeć na jedno ucho; wówczas próbował się uzdrowić za pomocą kolejnego ludowego specyfiku: hurtowej ilości wódki. Ulga była jednak tymczasowa – trwała tylko tyle, co spowodowana przepiciem utrata przytomności. Potem zaczęło się drapanie i grzebanie – palcem, badylem i sfatygowanym widelcem o trzech zębach. Dziad dłubał w uchu prawie bez przerwy, z krótkimi przerwami na dłubanie w nosie. Nawet podczas snu potrafił bez problemu trafić palcem w małżowinę. Na ból niewiele to pomagało, ale pozwalało Dziadowi mieć pozorną kontrolę nad tym, co działo się w jego głowie – grzebanie trochę uciszało głos.

Zaczął się od podejrzanych szmerów, jakby ktoś mówił po drugiej stronie ściany albo jakby coś bulgotało w rurach. Na granicy słyszalności, dźwięki nie przypominały jeszcze słów. Karaluch siedział wtedy za płytko – wyjaśnił Dziad, tłumacząc dalej, że wtedy można go było jeszcze powstrzymać, nie spodziewał się jednak, że robak planuje wpełznąć mu do ucha. Potem karaluch – ale czemu właściwie karaluch, tego Dziad nigdy przekonująco nie uzasadnił – zadomowił się na dobre, wgrzył głęboko i nie było już żadnych szans, by go wyciągnąć. Powodował ból, swędzenie i krwawienie, podżerał Dziada od środka i złośliwie szeptał mu bzdury prosto do mózgu. Kiedy jednak staruszek dłubał w uchu, powodował wibracje, które męczyły pasożyta i tymczasowo go uciszały.

Ruda, gdy pierwszy raz usłyszała od mężczyzny tę historię, ściągnęła mu ostrożnie wełnianą czapkę, odcinając parę tłustych kosmków siwych włosów, których nie dało się po prostu odkleić. Jej oczom ukazało się pobjowisko. Zmoczyła szmatkę w deszczówce gromadzącej się w beczce pod chatą Hrabiny i obmyła schorowane miejsce. Dziad jęczał i pomrukiwał, budząc w dziewczynie przestrasz, gdy jednak chciała przestać, ofukał ją, że powinna zawsze kończyć, co zaczęła. Zwłaszcza gdy już rozgrzebała cudzą ranę. W rzeczywistości Dziad odczuwał dawno zapomnianą przyjemność płynącą ze świadomości, że ktoś się nim opiekuje. Czuły i delikatny sposób, w jaki Ruda oczyszczała mu prawą połowę twarzy, na chwilę przyniósł staruszkowi ulgę.

Pod warstwą błota znajdowała się warstwa splątanych włosów, a pod nią – warstwa strupków i krwi. Ruda opłukiwała to wszystko mozolnie, nie naciskając i nie ciągnąc, czekając cierpliwie, aż rozmoczone płaty same odpadną. Dogrzebała się w ten sposób do ucha – leja po bombie. Obejrzała go, poszturchała, w końcu zdecydowała się ostrożnie zanurkować palcami do środka. Niczego nie znalazła.

Dziad był jednak zadowolony i wdzięczny. Skomplementował wrażliwość Rudej, czym wzbudził zazdrość Rafa, przyzwyczajonego do ciągłego łajania. Oczywiście staruszek nie rozpieszczał nikogo, więc mimo chwilowej słabości wciąż patrzył na Rudą spode łba i pomrukiwał ze złością za każdym razem, gdy robiła coś jego zdaniem głupiego.

– Można by rozgotować mięso do miękkości. Mama wie, jak wszystko rozgotować – Raf ponownie spróbował przekonać Dziada do swojego pomysłu.

– W zasadzie... zima idzie...

– Chyba nie rozważasz tego poważnie. – Ruda położyła na ziemi chrust.

– Hrabina to dobra kobieta, ale ręki do gotowania nie ma – powiedział, świdrując kciukiem w ucho.

– Mówicie o zabiciu człowieka. Nie wystarczyłaby wiewiórka?

– Wiewiórka-srórka – zaprotestował Raf.

– Ruda, a co taka wiewiórka, kruszynka, ma? Więcej futra niż mięsa. Zresztą mało już jest wiewiórek w lesie, nie wspominając o czymś większym. Jak byłem brzdącem, to i lisy, i jelenie widywałem. Może gdzieś w głębi lasu się zwierzęta zaszyły... Teraz najszybciej żaby można znaleźć... ummmm... – przerwał, zaciskając z bólu zęby i pochylając głowę. – Klepnął się dłonią w ucho. – A co my, Francuziki, żeby żaby jeść? Zaraz będziesz chciała żaby gotować... Albo robactwo, tego tu lata, pełza, skacze tyle, że... No co? No czego chcesz?! Takich jak ty sam bym ugotował i w szambie spuścił! – wydarł się do karalucha buszującego w ucho. Ruda stała nadąsana. – Poza tym kiedyś usmażyłem sobie wiewiórkę nad ogniskiem. Las nie był zadowolony. Jakoś tak się nieprzyjemnie zrobiło. Zadzierać z lasem to głupia rzecz... Patrz na Rafa. Smarkacz ciągle coś broi, to w zamian las go pokarał głupotą. A jak go czasem badył po dupie sieknie! I nie da sobie wytłumaczyć, żeby las w spokoju zostawić. Mieszkać można, łązić można, ale po co te drzewka łamać, po co te zwierzaki męczyć? Kiedyś mocniej cię lutnie, zobaczysz!

– Sam jesteś głupi – odgryzł się Raf ze złością. Ruszył w stronę Dziada, ale zaraz potknął się o korzeń i runął w liście. Pozostała dwójka wybuchła śmiechem, który w przypadku Dziada brzmiał trochę, jakby ktoś się dusił błotem. Ruda miała nadzieję, że to zakończy dyskusję.

– Widzisz, Ruda, jemu w kółko się takie rzeczy zdarzają. A to się potknie, a to o coś zahaczy, a to do rowu wpadnie. Pokazywał ci rów, ten, którego zza krzaków nie widać? I co, wpadłaś? Nie wpadłaś, bo mądra dziewczyna jesteś, miła i ładna, to się na ciebie las nie gniewa. Ty byś muchy nie skrzywdziła.

– Much jeść też nie będę! A ci miastowi nic z lasem wspólnego nie mają! – Raf wygrzebał się z liści, trąc twarz i przedramiona, pokiereszowane o gałęzie i kamienie.

– O patrz! Mądrze gada w końcu. – Dziad uderzył dłońmi w kolana. Był rozbawiony i najwyraźniej czuł się lepiej, bo na chwilę zapomniał o karaluchu. – Ja z lasem zadzierać nie będę, ale ci miastowi? Zachowują się, jakby wszystko im było wolno, jakby wszystko do nich należało. Myślą, że gdy jakaś wiocha leży odłogiem pod lasem, to sobie mogą przyjeżdżać i śmieci podrzucić. A że trzeba by jednego czy dwóch przez łeb lutnąć, to co z tego? Myślisz, że oni tu po coś innego przyjeżdżają? Mordują się nawzajem i zostawiają w lesie, jakby ich był. A niech te truposze

w mieście trzymają, skurwesyny!

– Może ci, co przyjeżdżają zabijać, nie są dobrzy, ale ci biedacy, których tu zwożą... Co oni winni? Związani, z zasłoniętymi oczami, sami muszą sobie groby kopać...

– Oni wcale nie są lepsi. Skąd ty możesz wiedzieć, kim oni są? Ja ci powiem: porządny człowiek nigdy w żaden biznes z bandytami by się nie wdał. Jak ktoś ląduje w lesie, a nie na cmentarzu, to znaczy, że sobie zasłużył.

Ruda niechętnie przetrawiała te słowa. Szanowała Dziada i trochę się go bała, ale nie lubiła sięgać po ostateczne środki. Staruszek zauważył jej niezdecydowanie.

– Musisz coś zrozumieć, Ruda. Jesteś jeszcze dzieciakiem, to nie wiesz takich rzeczy. My to my, a oni to są oni. Na wiosce ludzie pomagają sobie nawzajem, każdy każdego zna. Ja, Raf, Hrabina, nam możesz zaufać. A miastowi? Raz byłem w mieście, i wiesz co? Wszyscy sobie obcy, nikt nic nie wie, nie potrafi. Zgubisz drogę, to ci nikt nie pomoże.

– Ale tutaj też nikt mi nie chciał pomóc – zaprotestowała nieśmiało Ruda.

– A pobił cię ktoś? Okradł cię? Bo mnie w mieście to zaraz zaczepili. „Dziadku, a co tam masz?”

– Ruda! No weź! – Raf myślał, że wystarczy przekonać Dziada i będzie można wprowadzić plan w życie. Tymczasem z jakiegoś powodu Dziad oczekiwał aprobaty Rudej. Dla chłopca było to całkowicie niezrozumiałe, ale nie zamierzał tego analizować; po prostu chciał zmusić Rudą, by się zgodziła. – Oddam ci scyzoryk. Mój materac ci oddam, będziesz na dwóch spała, jak księżniczka!

– My tu gadu-gadu, a ja się głodny zrobiłem. Mówię ci, Ruda, Raf głupi jest jak sznurówka od buta, ale tym razem dobry ma pomysł. Miastowi to ani nasi przyjaciele, ani las ich nie lubi, ani nic dobrego z ich wizyt nie wynika. Jeden taki mniej... w mieście na jego miejsce tysiąc następnych mają! – Znów się roześmiał, zaraz jednak zakrztusił się i zakaszał.

Ruda rozumiała logikę argumentów Dziada, choć sama nigdy jeszcze nie myślała o ludziach w tych kategoriach. Nie dzieliła na „swoich” i „obcych”. Poglądziła po korze stojącą obok brzozę. Pieszczotliwy gest spowodował ledwo zauważalny ruch gałęzi. Liść upadł dziewczynie prosto na włosy, niczym dłoń głaszcząca dziecko po głowie. Las, skupiony na ekspansji, rozrastający się uparcie, kosztem zniszczenia wiochy, nie lubił miastowych. Oni nie bali się puszczy. A las nie miał władzy nad tymi, którzy nie odczuwali przed nim trwogi. Miastowi byli realnym zagrożeniem – wystarczyłoby, by się zjawili ze swoimi maszynami i zaczęli budować autostradę. Las nie mógł z tym wygrać.

– A ja? Ja też jestem człowiekiem. Chcesz mnie przegonić? Bo ja się ciebie nie boję – szepnęła. Raf dosłyszał te słowa i przez chwilę pomyślał, że Ruda też doczekała się swojego robaka w mózgu.

„Ty jesteś wyjątkowa” – wiatr zatańczył w liściach, układając ich szelest w ledwie dosłyszalne słowa. Dziad uderzył się dłonią w małżowinę, przekonany, że to znów karaluch śpiewa mu w uchu.

Ruda poklepała przyjaźnie brzozę po pniu. Była jeszcze jedna rzecz, o którą się martwiła. Odwróciła się do Rafa, a on natychmiast podjął z nią walkę na spojrzenia.

Szybko jednak zrozumiał swój błąd, gdy tylko ujrzał oczy tak ciepłe i brązowe, że aż wydawały się czerwone.

– Chodźmy chociaż zobaczyć, rozpoznać teren! Tylko zobaczymy, czy może jakiegoś grubasa mają... Wydaje mi się, że słyszałem dziś nadjeżdżający samochód. – Raf zaczął wymachiwać rękami i kręcić się w miejscu, niby wskazując kierunki, gdzie powinni iść i gdzie jechał samochód. Ruda wiedziała, że próbował w ten sposób na nią nie patrzeć.

Dziad podniósł się powoli z powalonego konara. Wyglądał jak leśny duch, ożywiony magią, odrywający się od pnia, w którym był uwięziony od tysięcy lat. Sapnął groźnie i ruszył w stronę wiochy. Ruda podążyła za nim, cały czas spoglądając ukradkiem na Rafa. Odkąd go poznała, próbowała zapanować nad jego zapędami. Raf był dzieckiem złym i okrutnym, znajdującym przyjemność w dręczeniu i zabijaniu każdej istoty mniejszej od niego, która nie zdążyła przed nim uciec. Dla Rafa najlepszą zabawą było niszczenie – wyrywanie desek z ogrodzeń, wybijanie szyb, kopanie starych psich bud, nim się w końcu rozleciały. Ludzie narzekali na las, że ten próbuje porastać ich podwórka, ale Raf był prawdziwą siłą sprawczą postępującego upadku wiochy. Lubił krzywdzić i wyśmiewać, lubił burzyć i męczyć. Ruda starała się nauczyć go pożytecznych rzeczy, zupełnie odmiennych od tego, co znał. Pokazała mu, jak wybudować szałas na polanie i jak rozpalić ognisko. Jak zrobić sobie prostą procę i jak zasadzić roślinę. Pokazała mu, które grzyby można jeść i jak je usmażyć. Wierzyła, że niespożytą energię Rafa można wykorzystać twórczo. Dzieciak zniechęcał się jednak błyskawicznie. Nie miał dość cierpliwości, by zbierać odpowiednie do budowy szałasu gałęzie, zaczynał więc bezsensownie łamać krzaki. Grzyby nadawały się najlepiej – według rozrabiaki – do kopania.

Hrabina nie miała nad skłonnościami swojego syna żadnej kontroli. Dziad mógł go co najwyżej zlać po tyłku, ale niewiele to pomagało. Raf najwyraźniej nie pojmował związku przyczynowo-skutkowego pomiędzy ulubionymi zabawami a karą. Przyjmował lanie jako stały element swojego życia, przemoc, jakiej doświadczał od kogoś większego i silniejszego od siebie, tylko dlatego że sam był mniejszy i słabszy. Kary fizyczne, zamiast oduczyć Rafa niepożądanych zachowań, pomogły mu zbudować własną filozofię życiową, która głosiła przewagę silniejszego. Raf łypał z niechęcią na Dziada, wiedząc, że któregoś dnia będzie od niego silniejszy i role się odwrócą. W oczekiwaniu na czasy, gdy to Raf będzie mógł bezkarnie zlać staruszkę, wyrywał nóżki każdemu zwierzęciu, które wpadło mu w łapy.

Ruda była natomiast dla chłopca zagadką. Nigdy nie widział, by ktokolwiek ją pobił, ale także Ruda nigdy nie stosowała wobec innych przemocy. Wręcz przeciwnie, wykazywała aż przesadną uprzejmość. Była co prawda dziewczyną, a dziewczyny z natury są jakieś rozmemlane, ale Raf nieraz widział, jak Grzelakowa goni z dziurawą patelnią Józka. Wywnioskował więc, że również dziewczyny zdolne są do okrucieństwa. Ruda wymykała się jednak wszelkim znanym mu schematom przemocy domowej lub ogólnej. Tym samym budziła w nim irytację oraz podszyte lękiem zaciekawienie. Nie bardzo też rozumiał wszystkie dziwne zabawy, które dla nich wymyślała. Wymagały skupienia, zręczności i robienia określonych rzeczy w określonym porządku. Dla Rafa było to nudne i skomplikowane.

We wiosce rzeczywiście stał znajomy czarny samochód. Raf wskazał go z podekscytowaniem, a Ruda zamartwiała się coraz bardziej. Nie sądziła, że chłopiec tak szybko przejdzie od zabijania zwierząt do zabijania ludzi. To oznaczało, że wszystkie jej starania poszły na marne i nie udało jej się choć trochę „ucywilizować” małego dzikusa.

Udało jej się ugrać jedynie tyle, że tego dnia istotnie tylko obserwowali. Ustalili, ile czasu gangsterzy spędzili w ich wiosce, o której przyjechali i wyjechali, dokąd zabrali swoją ofiarę, jaką mieli przy sobie broń. Ustalili plan działania.

\*

Ruda nie zamierzała się go jednak trzymać. Nie wiedziała jeszcze, jak to zrobić, ale chciała jakoś odwrócić uwagę Rafa albo go zniechęcić. Zrobić cokolwiek, by nie brał udziału w polowaniu. Myślała niechętnie choćby o pomocy przy kopaniu dołu czy ostrzeniu palików. Zresztą wiedziała, że dla Rafa nawet budowanie pułapek było zbyt nudne. Chłopiec najchętniej mówił o podrzynaniu gardeł, rozwalaniu czaszek i dżganiu w bebechy. Dziad łajał go, że Raf nie ma o niczym pojęcia i zdobycz powinien oporządzić ktoś z doświadczeniem. A Ruda zaczynała tracić cierpliwość do małego potworka i chciała go utemperować.

Szła akurat do Rzeźnika, by przekazać mu wiadomość od Hrabiny, gdy natknęła się na znajomego mężczyznę. Nazywali go Kabanosem i dziewczyna pamiętała, że raz przewrócił się w lesie, skręcając kostkę. Weterynarz opatrzył nogę, ale Ruda zauważyła, że mężczyzna lekko kulał, gdy szedł przez las. Zatrzymał się niedaleko, wciąż jej nie zauważając. Rozpiął rozporek i wysikał się pod okazałym bukiem. Drzewo pochyliło gałęzie. Zrobiło się jeszcze ciemniej. Ruda postąpiła parę kroków w stronę Kabanosa.

– Ee... – Zaskoczony mężczyzna spróbował ukryć przyrodzenie, choć nie skończył jeszcze sikać. – Widzisz, co narobiłaś? – Odzyskał odwagę, gdy zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z dzieckiem. Wskazał na zabrudzoną moczem nogawkę. – Zamierzasz mi to jakoś wynagrodzić, co?

– Raczej nie, proszę pana.

Kabanos zaczął się śmiać.

– Proszę pójść ze mną.

Mężczyzna wyprostował się i kulejąc, ruszył w stronę Rudej. Znowu poczuł się niepewnie, gdy zobaczył wyciągniętą, drobną dłoń. Coś w głowie kazało mu za nią złapać, coś nieprzyjemnie obcego, udającego jego własną myśl. Spojrzał za siebie i zdziwił się, że nikogo tam nie ma, bo przysięgłby, że ktoś szeptał mu do ucha. Zaczął drapać się po głowie, byleby tylko zająć czymś ręce.

– W porządku – powiedziała łagodnym głosem Ruda.

Kabanos wcisnął dłonie w kieszenie, dalej nie rozumiejąc, co się dzieje. Pot spłynął mu po twarzy, a obraz przed oczami rozmył się. Postąpił jeden, nieśmiały krok do przodu. Czuł się zmęczony i chciał wracać do Łysego, ale zamiast tego zrobił kolejny krok w stronę dziewczynki.

– Proszę pana, nie mam całego dnia. Proszę się pośpieszyć.

Gangster uniósł w górę kulejącą nogę, w połowie ruchu jakby się rozmyślił

i stracił równowagę. Przewrócił się. Ruda pocila się dosłownie każdym centymetrem skóry, próbując zmusić mężczyznę do wstania.

W powietrzu czuć było zniecierpliwienie tak silne, że aż prawie namacalne. I zaraz takim się stało, materializując się jako konar, który spadł nieszczęśnikowi na głowę. Czaszka pękła pomiędzy gałęzią a kamieniami.

– Szło mi już całkiem nieźle – powiedziała nadąsana Ruda. W odpowiedzi liście zaszeleściły. – Dobrze być uprzejmą. Wtedy stawiają mniejszy opór. To był bardzo słaby umysł. I prosty. W końcu by mi się udało, potrzebowałam jeszcze tylko chwili.

Drzewo zadrżało.

– Wcale nie jestem aż tak mała... W każdym razie teraz nie zaprowadzę go do Hrabiny, a nie mam dość siły, by go tam zanieść.

Ruda usłyszała zbliżającego się Łysego, z wściekłością nawołującego kolegę. Stawiał zamaszyste kroki, rozgniatając robactwo; wymachiwał zawzięcie rękami, torując sobie przejście przez puszcę, nie patrząc, czy nie łamie gałęzi. Im bardziej jednak walczył z krzakami, tym bardziej te zastępowały mu drogę. Czuł, jak kolce wbijały mu się w uda, łądygi owijały wokół stóp, a liście ostrymi krawędziami cięły skórę przy najmniejszym nawet kontakcie. Zatrzymał się, nie mogąc iść dalej. Rozejrzał się wkoło i zrozumiał, że zupełnie stracił orientację w terenie. Wokół było tylko gęste listowie, przysłaniające niebo i ścieżki. Ruda stała tak blisko mężczyzny, że mogłaby go dotknąć, sama pozostając niezauważoną.

Łysy z ulgą wypatrzył prześwit w gęstwinie. Zrobił krok w jego stronę. Nie miał zresztą wyboru, gdyż wszędzie dookoła piętrzyły się przeszkody. Odnosił nieprzyjemne wrażenie, jakoby las wokół niego się zmieniał, przesuwał, złośliwie zagradzając mu drogę. Zaraz jednak rozpoznał znajome, pęknięte na pół drzewo i bezpiecznie wrócił do wioski. Las zaś zadrżał jak zaatakowany przez nagłe trzęsienie ziemi i poniósł Rudą oraz ciało Kabanosa.

Ludzie we wiosce widzieli falę liści i mówili, że tego dnia las próbował odejść, ale był tak samo skazany na swoje miejsce jak mieszkańcy wiochy.

\*

Ruda zawołała Dziada. Staruszek nie pytał o nic, choć drapał się zaciekle po brodzie, próbując zrozumieć sytuację. Był jednak zbyt skupiony na wewnętrznej dyskusji z karaluchem w uchu, by przepytować dziewczynę. Zabrał się do ćwiartowania, złorzecząc pod nosem. Ruda nie była pewna, czy rzuca przekleństwa w jej stronę, w stronę ciała, czy niechcianego lokatora w czaszce. Co chwila to sięgał do ucha uwalanym w krwi palcem, to drapał się zafrasowany po brodzie. Dziewczyna z zadowoleniem skonstatowała, że Rafa nie ma w domu, nie mógł więc niczego zobaczyć. Gdy chłopiec wrócił, mięso już się smażyło.

– Zobacz, kochanie, co Ruda z Dziadkiem przynieśli. Nie chcą powiedzieć, skąd to mają! Tyle mięsa! Powiedziałabym, że ukradli, powiedziałabym nawet, że to ty ukradłeś, ale oboje przysięgają, że nie miałeś z tym nic wspólnego. Sama nie wiem... Ruda chyba by nie skłamała, ale to takie rozrabiactwo w twoim stylu...

– Zamknij się, mamó! – Raf z frustracją zaglądał dziewczynie przez ramię, podszczypując ją.

– Zostaw mnie, bo nie dostaniesz obiadu! – pogroziła.

– Patrz i ucz się, syneczku. Nigdy nie chcesz mi pomagać, nic w domu nie zrobisz, a Ruda zaoferowała się, że sama dziś wszystko ugotuje. Czy ty byś zrobił coś takiego dla mnie?

– To ją sobie weź! – Raf rzucił w matkę dziecięcymi grabkami.

Dziewczyna westchnęła i przekręciła kawałek pośladka na drugą stronę. W chatce roznosił się przyjemny zapach smażonego mięsa. Ruda wołała nie ryzykować i nie oddawać patelni Hrabinie – znając jej zdolności, przygotowałyby pozbawioną smaku papkę. Raf rzucał się po kuchni. Dosłownie. Obijał się o ludzi i meble, jęcząc coś po swojemu i wypominając wszystkim wokół zdradę. Szarpnął Rudą za rękaw.

– Opowiedz, jak go złapaliście. Zrobiliście pułapkę? Użyliście sidła? Tych starych sidła Dziada?

– Ja nie potrzebuję sidła – odburknęła Ruda.

Zniecierpliwiony Dziad wyciągnął pas i dopiero to uspokoiło na chwilę niepokornego bachora.

Koniec fragmentu.